

Idealy nieekonomiczne

I

„Ekonomia, głupcze!” – oto proste słowa znanego polityka z końca poprzedniego stulecia. Poskutkowały one w jego kampanii prezydenckiej, ale też stały się zgrabną formułą tego, co warto sądzić o polityce, streszczeniem najbardziej rozsądnego ujęcia roli państwa i elit rządzących. Jeśli nie jesteś nieuleczalnym marzycielem czy wyalienowanym dziwakiem, to prędyj czy później dostosujesz swoje poglądy i oceny do mało szlachetnych realiów. W rzeczywistości politycznej liczy się w końcu nic innego, jak tylko stworzenie i utrzymanie silnej gospodarki. To od stanu gospodarki zależy – lub powinna zależeć – polityka, nie na odwrót. Można wszakże rozumieć ów rzekomo zdroworozsądkowy prymat ekonomii nad polityką na dwa sposoby: tak bardziej na co dzień i bardziej intelektualnie.

W pierwszym wypadku chodzi nam o prostą opinię, którą podziela mnóstwo osób, zwłaszcza tych uczulonych na romantyczne gesty i zaokrąglone „narracje” w przekazie medialnym. Charakter prostej opinii możemy sobie zilustrować za pomocą dowolnej scenki rodzajowej. Oto, powiedzmy, rozmowa rodaków przy stole: siedzi przy nim kuzyn realista i kuzynka idealistka. Kuzynka bardzo martwi się tym, jak tu i ówdzie gwałcone są prawa człowieka, toteż stara się – nad talerzem – zawezwać siły, które wystąpią w obronie wolności czy demokracji. Kuzyn otwiera szeroko oczy – może nieco

trunkiem przyćmione – i pyta z pasją: ty naprawdę w to wierzysz? A wystarczy rozejrzeć się dokoła! „Prawa człowieka” i inne tego typu wzniosłe slogany służą temu, by uzasadnić konkretne działania podejmowane dla realizacji bardzo przyziemnych – czy wręcz brudnych – interesów. Zawsze i wszędzie na serio brane są pod uwagę jedynie wymierne korzyści. Gdzie kończy się ekonomia, tam zaczyna się manipulacja bądź pustosłowie. Nie daj sobie wmówić, naiwna kuzynko, że jest inaczej, że chodzi o coś więcej aniżeli złoża ropy czy – ogólnie – wszelkiej maści układy między możliwymi tego świata. *Money makes the world go round*. Nie ma co mówić o równych szansach i równym traktowaniu. Wygrywają silniejsi. Historia to pokazuje. Czy tak trudno przyjąć do wiadomości, że wielkie fortuny pochodzą z rozboju i wyzysku? Czy nie do tego sprowadza się, w decydującej mierze, wschodnioeuropejskie doświadczenie transformacji ustrojowej końca XX wieku? Wystarczy pomyśleć o uwłaszczonych oligarchach... A dawniej – czyż nie kolonizowano świata w sposób bezwzględny, mając na ustach górnotłone frazesy? *Et cetera*. Jak widać, kuzyn-realista nie ma większego problemu, aby zapędzić kuzynkę-idealistkę w kozi róg. Niepodobna wszak zaprzeczyć współczesnej ekonomizacji polityki, a ciężko wykazać ot tak, przy stole, że polityka może i powinna być rozumiana w świetle dążenia do dobra, które nie jest wyłącznie dobrem materialnym czy też dobrem służebnym wobec dobra materialnego.

Ekonomizacja polityki oznacza właśnie to, iż jej cel musi być pojmowany jako cel ekonomiczny, że zatem cały dyskurs polityczny ma sens jedynie o tyle, o ile przekłada się na dobre funkcjonowanie gospodarki. Komu służy gospodarka, to inna kwestia. Ostatecznie nie dziwi przecież to, że pożytkujemy dostępne zasoby przede wszystkim z myślą o sobie i swoich bliskich. Każdy realista wie, że bliska ciału koszula; że – jak poucza z kolei (w wolnym tłumaczeniu) urocze malajskie przysłowie – nie pora karmić małpki w lesie, gdy własne dziecko

umiera z głodu¹. Własnym dzieciom życzymy nie tylko tego, żeby nie umierały z głodu, ale i tego, by mogły pozwolić sobie na „jak najwięcej”... dzięki nam. Szerzej pojęta walka z nędzą i wykluczeniem, o prawo do życia i prawo do zakupów, może być dla nas opłacalna... albo nie. Jednak, wzięwszy pod uwagę zasadnicze preferencje ogółu rządzonych, zwykłemu aktorowi na scenie politycznej bardziej opłaca się jawić swemu społeczeństwu, a nawet całej ludzkości, jako dobroczyńca, altruista, filantrop niż jako rozbójnik czy wyzyskiwacz. Zresztą samo uprawianie polityki – czyli bycie zawodowym politykiem, aktorem sceny politycznej, utrzymywanym przez widzów – należy postrzegać w kategoriach świadczenia pewnych usług na rzecz ogółu. W nowoczesnej demokracji, przynajmniej w krajach zachodnich, ogół ma prawo kontrolować i rozliczać polityków jako menedżerów własnego państwa.

Tu jednak, całkiem nieuchronnie, otwiera się przed nami bezkresna połać nieporozumień i rozczarowań. Jakże bowiem naiwni są ci, którzy pragnęliby myśleć o nowoczesnej demokracji, mając w głowie wzory ateńskiej *polis* bądź wieców plemiennych! Nasze społeczeństwo, gdy porównać je do przednowożytnych wspólnot politycznych, okazuje się zbiorowością ogromnych rozmiarów, powiązaną ogromną liczbą skomplikowanych relacji międzyludzkich (nawet, jeśli wszystkie te relacje koniec końców dadzą się zredukować do ekonomii – cóż to za horrendum ekonomiczne w porównaniu do gospodarek preindustrialnych!). Nasze państwo, oparte na działaniu aparatu biurokratycznego, stanowi maszynę zupełnie nie do ogarnięcia przez umysły na co dzień zajęte czymś innym, poruszające się w innych sferach życia. Na to jeszcze nakłada się działanie technologii *sensu stricto*, bez której zresztą nie byłoby

¹ *Anak kera di hutan disusui, anak sendiri di rumah kebuluran*. Por. K. H. Lim, *Budi as the Malay Mind: A Philosophical Study of Malay Ways of Reasoning and Emotion in Peribahasa*, Hamburg 2003, s. 60.

w ogóle możliwości tak skutecznego (co do zasady) organizowania się w takiej skali, ale i szans na wciągnięcie ogółu do gry politycznej, na zrobienie z ludzi obywateli, na ich należyte poinformowanie („oświecenie”). Tylko... czy to tak działa? Czy my, tu i teraz, faktycznie jesteśmy obywatelami w klasycznym rozumieniu tego słowa, rozeznanymi w sprawach publicznych i zachowującymi istotny wpływ na te sprawy? Czy nie jest rewersem „zdroworozsądkowej” ekonomizacji polityki to, iż zamiast prawdziwego dyskursu przedstawia nam się cyrk medialny? Że aktorzy sceny politycznej zaczynają grać przed nami istną operetkę (kto co powie bardziej „emocjonalnego” itp.), a świadczone przez nich usługi należałoby sprowadzić do usług rozrywkowych w pewnym zakresie – obok, powiedzmy, sportu i show-biznesu? Łatwo rodzi się – owszem, niezbyt wyrafinowane – podejrzenie, że kukiełki na ekranach telewizorów nie są tak naprawdę ludźmi podejmującymi ważne decyzje. Właściwi decydenci, unikający światła sceny, posługiwaliby się raczej tymi figurantami życia publicznego dla swoich celów. Podtrzymywaliby oni pozory demokracji, aby uniknąć niepokojów społecznych, podczas gdy mielibyśmy do czynienia z jakąś formą oligarchii. W takim ustroju, w warunkach nowoczesności, najważniejszą ze sztuk byłaby sztuka behawioru, czyli – praktycznie – generowania impulsów i grania na emocjach tak, by możliwie najmniejszym kosztem wmówić nam naszą zgodę na realizację czyichś planów i interesów.

Nie jest to świeży dylemat. Rozwój nowoczesnego państwa i społeczeństwa stawia nas w obliczu bolesnej konstatacji, iż „prawdziwa” demokracja – w znaczeniu władzy dobrze poinformowanego tłumu – jest ustrojem zwyczajnie niemożliwym do zbudowania. Tłum okazuje się zbyt liczny, a z informacją zawsze jest problem. Nie zmienia tego, wbrew pozorom, dwudziestowieczna erupcja nowych środków komunikacji prowadząca do coraz większej dominacji obrazu (w przekazie kinowym, telewizyjnym, internetowym). Ludzkie opinie czy mniemania

pozostają tym, czym były; nie stają się bardziej racjonalne, bardziej niezależnie formułowane czy przemyślane u podstaw. Poglądy i argumenty, nastrojowe deklaracje i roszczenia do prawdy, krzyki i tłumaczenia – wszystko to jawi się człowiekowi jako jeden wielki miszmasz, który trzeba jakoś po swojemu okiełznać. Jesteśmy wobec tego skazani na pomoce w poznawaniu – stereotypy – rozpoznawane z kolei i wykorzystywane przez innych. Bo skoro trudno nam jako konsumentom ustalić, powiedzmy, prawdę o jajkach, czy są zdrowe czy niezdrowe – potrzeba tu wypowiedzi eksperta od jajek, byle nie skorumpowanego przez przemysł jajeczny lub konkurencję tegoż – to czy jako obywatele nie jesteśmy tak samo zdani na łaskę ekspertów od zarządzania? Pojęcie „stereotypu” jako pierwszy – około sto lat temu – poważnie rozpatrywał Walter Lippmann, a czynił to w kontekście przemiany pojmowania ustroju demokratycznego. Jego zdaniem *praktyka demokracji zaczęła gdzieś skręcać. Ma miejsce rewolucja nieporównanie bardziej znacząca aniżeli jakiegokolwiek przesunięcia władzy ekonomicznej. W ciągu życia pokolenia będącego teraz (w 1921 roku) u władzy perswazja stała się świadomością uprawianą sztuką i zarazem normalnym narzędziem demokratycznego rządu. Nikt z nas nie rozumie jeszcze konsekwencji, jednak nie jest nazbyt śmiałym prorocstwem mówić, iż wiedza o sposobach kreowania zgody wpłynie na wszelkie polityczne kalkulacje i zmodyfikuje wszelkie polityczne założenia. Pod naciskiem propagandy – niekoniecznie w li tylko złowieszczym sensie tego słowa – stałe elementy naszego myślenia przekształciły się w zmienne. Nie można już, dla przykładu, wierzyć w pierwotny dogmat demokracji; że wiedza potrzebna do kierowania (management) ludzkimi sprawami spontanicznie dobywa się z ludzkiego serca*². Odpowiedź Lippmanna zawiera się w oczekiwaniu profesjonalizacji dyskursu politycznego czy, mówiąc najkrócej, we władzy ekspertów. Potrzebujemy elit zajmujących się pilnowaniem umysłów. Należy kształcić ludzi, którzy – wraz z postępem wiedzy na temat

² W. Lippmann, *Public Opinion*, New York 1997, s. 158.

stereotypów czy też myślenia w skali makro – coraz sprawniej będą ustawiać pożądane ciągi obrazów w głowach obywateli niemających czasu ni umiejętności dokonywania samodzielnych analiz. Prawdziwa nauka o polityce – ostatecznie sama polityka – sprowadza się do „zarządzania opinią”; przyszłość należy do menedżerów opinii. Wypada od razu zauważyć, że istotną funkcją usług politycznych w takim układzie nie jest działanie na rzecz materialnego dobrobytu wszystkich, lecz – osiągnięcie powszechnej zgody. Wszak nietrudno wyobrazić sobie ekspertów, którzy nie tyle pracują dla nas, ile naszym kosztem „grają pod siebie”, tworząc warunki do osiągnięcia i utrzymywania supremacji własnej i swoich bliskich (albo skrytych mocodawców). Kto ich osądzi i na jakiej podstawie?

Jeśli nieco zaskakuje nas fakt, iż nasze problemy z demokracją „epoki mediów” były wyraźnie przeczuwane przez amerykańskich intelektualistów lat 20., to jednak trochę głębsza refleksja nad historią nowożytnej politologii każe nam dostrzec, jak bardzo – tu i teraz – jesteśmy uwikłani w reinterpretacje starych pomysłów. Odkrycie samoświadomej „sztuki perswazji” czy, jak to nazwaliśmy wcześniej, sztuki behawioru wiąże się bowiem z dużo starszym, szesnastowiecznym odkryciem „nowego kontynentu moralnego”, dokonany przez Niccolò Machiavellego³ – patrona pospołu realistów politycznych i badaczy polityki. Jego nazwiska nie możemy, co prawda, łączyć bezpośrednio z interesującym nas zagadnieniem ekonomizacji polityki, gdyż nie zszedł on do poziomu bezkrytycznego entuzjazmu wokół idei materialnego postępu czy wzrostu gospodarczego. Jako nauczyciel cnoty z pewnością bardziej cenił męski honor od niewieściego zaangażowania w handel i gromadzenie bogactw. Tylko co z tego? To właśnie autor *Księcia* utworował

³ Por. L. Strauss, *Czym jest filozofia polityki?* [w:] tegoż, *Sokratejskie pytania. Eseje wybrane*, przeł. P. Maciejko, Warszawa 1998, s. 91, 94–95; tenże, *Prawo naturalne w świetle historii*, przeł. T. Górski, Warszawa 1969, s. 164 i n.

drogę do czysto „interesownego” ujęcia spraw politycznych, gdzie wszelka cnota jest niczym innym, jak tylko wehikułem sprawnego działania, a bliźnich można urabiać praktycznie do woli. Lippmann zdaje się tego świadom, kiedy pisze o Machiavellim: *jednak mamy również filozofów (oprócz idealistów zabiegających o porządek i harmonię), którzy byli znudzeni (...) schematami praw i obowiązków, brali konflikt za rzecz oczywistą i starali się zrozumieć, w jaki sposób ich strona może wziąć górę. Zawsze wydawali się bardziej realistyczni, choćby budząc trwogę, ponieważ we wszystkim, co dane im było robić, chodziło o uogólnienie doświadczeń, przed którymi i tak nie ma ucieczki. Machiavelli jest klasykiem tej szkoły, człowiekiem bezlitośnie oczernianym dlatego, że okazał się być pierwszym naturalistą, który użył prostego języka w dziedzinie zastrzeżonej dotychczas dla nadnaturalistów (supernaturalists). Ma on gorszą reputację i większą liczbę uczniów niż jakikolwiek myśliciel polityczny z dowolnej epoki. Jego nauczanie jest cyniczne. Jednak jest to cynizm człowieka, który widzi prawdę, nie wiedząc, dlaczego widzi to, co widzi (...) nie pozwala sobie na uleganie fantazjom, a nie ma danych po temu, aby wyobrazić sobie rasę ludzką, która nauczyła się korygować ich (tj. szesnastowiecznych Włochów) widzenie rzeczywistości*⁴.

Ostatecznie sam Lippmann mógł sądzić o sobie, że jest nowym Machiavellim⁵. Wszakże postępowanie dokonane w ciągu czterech stuleci umożliwiło mu widzenie rzeczy takich, jakimi są, w sposób bardziej świadomy od tego, jaki przypisał był swojemu protoplaście. Amerykanin byłby więc, by tak rzec, Machiavellim od korygowania wizji – bardziej naukowym, ale i mniej zrażonym do ludzkości; jego „filozofia” uchodziłaby za „demokratyczną”. Widząc tę różnicę, możemy zawczasu nabrać podejrzeń odnośnie do nowożytnych losów myślenia realistycznego (w wersji odpowiedniej dla intelektualistów-ekspertów),

⁴ W. Lippmann, *Public Opinion...*, s. 168–169.

⁵ Por. P.V. Murphy, *The New Era: America Thought and Culture in the 1920s*, Lanham 2012, s. 159.

że mianowicie dziwnie sprzęga się ono z ideałem, któremu – wskutek założonego sceptycyzmu, cynizmu lub, jak kto woli, trzeźwego dystansu – powinno się przeciwstawiać. Póki co, warto bodaj podkreślić głęboko osadzoną ciągłość w rozumieniu polityki od Machiavellego do nowoczesnych menedżerów opinii. Wszystko jedno, czy zechcą oni określać siebie mianem ludzi od propagandy, czy raczej od „piaru” bądź marketingu. Ciągłość ta ukazuje poniekąd konsekwencje myśli domagającej się powszechnego oświecenia. Człowiek, aby móc należycie definiować swój własny interes, musi zostać oświecony. Można to owszem nazwać informowaniem obywatela i przedstawiać jako dyskurs polityczny, do którego zaprasza się wszystkich, dajmy na to, urodzonych na danym terytorium. Jednak ludzie, w masie swej, nie są filozofami garnącymi się do dyskursu – mogą co najwyżej lubić albo szanować filozofów – przez co odpowiedzialnym elitom rządzącym pozostaje nic innego, jak tylko sankcjonowanie pewnych opinii, *de facto* przyjmowanych na wiarę, w końcu zaś – sztuka behawioru⁶.

Wszystko, co powiedzieliśmy do tej pory, stanowi ilustrację i komentarz do pierwszego sposobu wyrażania prymatu ekonomii nad polityką. Cały czas mamy na uwadze prostą opinię, że pieniądź rządzi światem, a jakiegokolwiek zaprzeczenie czy ograniczenie roli pieniądza oznacza jedynie mydlenie oczu przez zainteresowanych. Opinia ta, Bogiem a prawdą, nie zakłada – choć też nie wyklucza – znaczących pretensji intelektualnych. Inaczej jest przy drugim sposobie. Tu bowiem mamy do czynienia z przekonaniem o dostępie do wiedzy mającej walor pewności czy nawet absolutności; wiedzy, o jakiej starożytni filozofowie mogli jedynie pomarzyć. Tamci byli przy nas jak dzieci – bez szans na ogarnięcie całej rzeczywistości; nie mieli naszych podręczników, encyklopedii; w gruncie rzeczy nie znali w ogóle historii. Dla nas lekcje historii powszechnej są technicznie łatwo

⁶ Por. L. Strauss, *Thoughts on Machiavelli*, Chicago–London 1958, s. 297.

dostępne, ale i łatwe do przerobienia na poglądy metafizyczne⁷. Zauważmy, że opinia „prostego” człowieka – naszego kuzyna – dotyczy pewnej części spraw, o których chce on mówić po to, aby poprzeć jakiś sąd („liczą się tylko pieniądze”) i tym samym zmierzyć się z sądem przeciwnym („pieniądze to nie wszystko”). Ostatecznie można w tę lub we w tę. Z kolei intelektualista pragnie oglądać całość i mówić o całości. Jego opinia nabiera cech narracji totalnej. Nie jest więc tak, że ekonomia staje naprzeciw ideałów (mądrze bądź niemądrze wyznawanych). Jest raczej tak, że wszelkie ideały – dążenia, interesy – zawierają się w jednym i potwierdzają to, co „wiemy” (nawet jeśli niektórzy nie potrafią jeszcze korzystać z tej „wiedzy” w pełni świadomie i konsekwentnie). Porządny intelektualista rozumie – i rozumnie akceptuje – to, że w tym świecie nie ma istotnego napięcia, bo wszystkie napięcia zostały zniesione. Nie będzie zatem jego udziałem owo przykre odkrycie kuzynki-idealistki, że to kuzyn-realista rozdaje karty przy stole, ona zaś pogrąża się w *wishful thinking*. Dla wielu „prostych” ludzi przyjęcie opinii o władzy pieniądza stanowić może przesłankę do potwierdzenia własnej dojrzałości, że nie dadzą sobie w kaszę dmuchać; inni wszelako mogą reagować na poziomie dziecięcej traumy związanej z ujawnieniem tego, że święty Mikołaj nie istnieje naprawdę. Wypowiadaniu mocnych opinii towarzyszą nieraz silne emocje. Jednak w żadnym razie nikt nie jest tutaj zainteresowany przewyciężeniem horyzontów myślowych filozofii klasycznej czy uzyskaniem absolutnego wglądu w dzieje ludzkości. Oczywiście, kuzyn-realista może starać się uzasadnić swoje zdanie, powołując się na rozum, aby narzucić je kuzynce jako racjonalne rozstrzygnięcie – klucz do rozumienia spraw tego świata. Niemniej trudno powiedzieć, by ustanawiał przez to dyskurs polityczny wiążący wszystkich obywateli. Raczej pozostaje wyrazicielem pewnego poglądu, jednym z niezliczonej rzeszy prywatnych „autorytetów” mających

⁷ Por. tenże, *Prawo naturalne...*, s. 27.

być może jakiś wpływ na rodzinę i znajomych, ale nie na całą ludzkość. Intelktualiści, jak wiadomo, mogą więcej.

Jest to kwestia newralgiczna, gdy idzie o rozumienie zarówno nowoczesnej postaci życia politycznego, jak i jego humanistycznej krytyki (którą zajmujemy się później). Polityka to przede wszystkim obszar ścierania się partykularnych stanowisk. Opinie, które wypowiadamy, mogą sięgać rozmaitych źródeł i sposobów opisu rzeczywistości. Jako takie mają jednakże służyć nam i naszym bliskim czy, szerzej, wspólnotom bądź organizacjom zapewniającym nasz dobrobyt i naszą tożsamość. Jeśli mówimy, na przykład, że Kraków jest najpiękniejszym miastem w Polsce, a Polska to fajny kraj – wypowiadamy opinię, którą zapewne potrafimy jakoś uzasadnić w gronie swoich rozmówców, lecz nie spodziewamy się przy tym, iż stanie się ona prawdą uniwersalną, podzielaną przez wszystkich, w każdym miejscu na Ziemi i – potencjalnie – w każdym momencie historii. Opinie mogą być prawdziwe albo nie, a tak naprawdę liczy się ich skuteczność w umacnianiu tego, co nasze, bliskie. Wielki problem intelektualizmu zaczyna się wtedy, kiedy opinia zdaje się zajmować miejsce filozofii poznającej prawdę, a stanowisko partykularne zrównuje się z podejściem uniwersalnym; kiedy, innymi słowy, mnóstwo skomplikowanych („naukowych”, „kulturalnych”) zaklęć osłania toporną zarozumiałość indywiduum: ja to „wiem”, zatem to musi być prawda. Taki człowiek płynie na fali myśli, która – jak mu powiedziano – wygrywa. Im zaś głębiej zakorzeniona owa myśl, tym mniej czytelne staje się owo perfidne założenie, iż to, co wygrywa, definitywnie potwierdza tym samym związek pomiędzy swoją rzekomą prawdziwością a skutecznością w opanowaniu czy ustanowieniu dyskursu. W tej perspektywie Stalin musiał mieć rację, skoro zwyciężał. Jeśli zaś uznamy poniewczasie, że jednak przegrał, to pozostaje nam ustalić, kto z nim wygrał – czyja myśl okazała się bardziej skuteczna, a więc bardziej prawdziwa; że, powiedzmy, amerykański model gospodarczy okazał się modelem prawdziwszym

od radzieckiego. Kiedy wszak zapuścimy się głębiej, czy nie do-
trzymy do momentu, w którym oba modele okażą się – jednym?
Zaś nowoczesny intelektualista – zawsze wygranym?

Póki co, zróbmy jedno – niby banalne – zastrzeżenie. Wi-
dać przecież, że nasz intelektualista nie jest osobą z krwi i ko-
ści. W rzeczywistości człowiek tego pokroju, nasycony „wiedzą”
i należycie ukierunkowany – bywa, że po prostu dziedziczący ro-
dzinny status i biblioteczkę – krzyżuje się z cynikiem, przecho-
dzi przez różne fazy wątpienia i utwierdzenia w odniesieniu do
wyznawanych tez, a koniec końców i tak przekłada swój indy-
widualny interes nad wielkie wizje ludzkości. Wszelako można
się po nim spodziewać, że w swoim ciągu doświadczeń niewie-
le cierpi wątpliwości na własny temat, co zaś lekko wycierpi, to
wkrótce nadrobi miną. Rzeczywiste – naturalne – przywiązanie
do tego, co partykularne (własne, bliskie), nie słabnie wraz z roz-
wojem kariery; a z pewnością nie szkodzą mu uniwersalne pre-
tensje zawarte w samej formule światopoglądu. Tymczasem do
poziomu „autorytetów” próbują sięgać masy ludzi zdecydowa-
nie gorzej ustosunkowanych, lecz podobnie wykształconych,
uznających się za osoby wyrobione intelektualnie, za rozsądnych
przedstawicieli warstwy inteligenckiej, *summa summarum* – za
ważnych uczestników prawdziwego (czyli obecnie zwycięskie-
go) dyskursu politycznego, najczęściej kojarzonego z dyskur-
sem liberalnym bądź „centrowym” (notabene te określenia nie
wydają się same w sobie istotne – cóż bowiem mają wspólnego
dzisiejszy liberał, konserwatysta czy socjalista ze swymi imien-
nikami sprzed dwustu, stu czy pięćdziesięciu lat? ... i czym tak
naprawdę różnią się między sobą tu i teraz?). Pointą dla tego wą-
tku niech będzie *dictum*, ujmując proste, niemiecko-amerykań-
skiego badacza filozofii politycznej, Leo Straussa: *oczekiwać od za-
trudnionych na wydziałach filozofii bycia filozofami jest tak samo absurdem,
jak oczekiwać od zatrudnionych na wydziałach sztuki, by byli artystami*⁸.

⁸ Tenże, *What is Liberal Education?* [w:] tegoż, *Liberalism Ancient and Modern*,
Ithaca–London 1989, s. 7.

Skoro jednak, jako ludzie nowoczesni – czy też nowoczesnie pooświeceni – zawierzaliśmy akademickim „filozofom” i „autorytetom”, to czerpiąc z zasobów wiedzy absolutnej, *nolens volens*, ocieramy się o patos. Nie tak dawno, bo na początku drugiej połowy XIX wieku, pytał Norwid (w wierszu *Marionetki*): *Jak się nie nudzić na scenie tak małej, / Tak niemistrzowsko zrobionej, / Gdzie wszystkie wszystkich Ideały grały, / A teatr życiem płacony?* Pytanie to rzecz jasna arcyironiczne, ale dziś już wiemy, że tego rodzaju „nuda” nas nie dopadnie... zaś opłata w wysokości życia nie grozi, na przykład, pani Meryl Streep. Amerykańska aktorka „zaangażowana” bezpiecznie tedy, chcąc nauczać w podróży, zabiera ze sobą światło prawdy: *ex occidente lux!* Zacytujmy: *panowie, okłamujecie się (...)* przyjrzyjcie się światu i kierunkowi, w którym ewoluje. *Czy naprawdę myślicie, że możecie to zatrzymać?! Przeszłość umiera w bólach, a stary porządek nie chce się poddać bez walki. Rozumiem to, ale z radością zawiadamiam was, że reprezentujecie przegraną sprawę. Równość jest wielkim marzeniem i przyszłością tego świata. Jesteśmy różni – kobiety i mężczyźni, heterocy i geje, czarni i biali – ale wszyscy powinniśmy mieć równe szanse wyrażania siebie i bycia sobą. Równe szanse w pracy, miłości i swojej własnej drodze do szczęścia. Panowie, tracie władzę, a wasze stare zasady odchodzą w niebyt. Goodbye!*⁹ Nie, nie chodzi nam o to, co dokładnie wyznaje pani Streep. Chodzi o to, w czym jest ona najzupełniej wtórna; o sposób, w jaki opisuje i ocenia rzeczywistość polityczną czy społeczną, mianowicie – przez pryzmat osobliwego doświadczenia nowoczesności. Historyczna perspektywa, która unieważnia wszelkie wcześniejsze perspektywy – zanim zostaje spopularyzowana i zinternalizowana przez prawdziwe wojowniczkę dyskursu – rodzi się w umysłach intelektualistów, w kuźni

⁹ Meryl Streep do posłów polskich: *Panowie, tracie władzę* (wywiad przepr. M. Żakowska), „Gazeta Wyborcza” [online], 22 stycznia 2014 [dostęp: 13 stycznia 2018]. Dostępny w Internecie: <http://wyborcza.pl/1,75475,15318901,Meryl_Streep_do_poslow_polskich__Panowie__tracie.html>.

les philosophes, Darwina, Hegla, Marksa, Freuda i wielu innych. Z ich punktu widzenia – jak zauważa Irving Babbitt (tu akurat w odniesieniu do nauk Johna Deweya) – *doświadczenie religijne, które Dante starał się przekazać w Boskiej komedii, jako że nie nadaje się do przebadania w laboratorium, jest po prostu bzdetem. Podobne doświadczenie, którego symbol stanowi wielka katedra, również trzeba odrzucić jako bzdet. W rzeczy samej, większość wspaniałej sztuki i literatury przeszłości – Wschodu i Zachodu – zajmującej się nade wszystko, jak czyniła to owa sztuka i literatura, doświadczeniem humanistycznym bądź religijnym, musi zostać odrzucona jako bzdety*¹⁰. W ten sam sposób możemy mówić o koncepcjach ustroju oraz wzorach życia indywidualnego opartych na klasycznym rozumieniu filozofii i religii. Właściwie wszystko, co nie odpowiada naturalistycznym założeniom humanitaryzmu – wiary w ludzkość, z której wytryska podstawowy nurt myśli nowożytnej – musi zostać albo zapomniane, albo przetransformowane na gruncie zwycięskich ideałów ekonomicznych.

Dlaczego stwierdzamy raptem, że ideały ekonomiczne są „zwycięskie”? Otóż i my chcemy być realistami, a to znaczy – oddzielić ziarno od plew; horyzont myśli płaskiej – od nadętej frazeologii, która jedynie udaje, że ten horyzont podnosi; człowieka, który zawierzył ziemi – od tego, który kłamie, że widzi niebo. „Prawda” konstytutywna dla naszych czasów – i, wbrew pozorom, ogólnie niezagrożona – zawiera się w „filozoficznej” opinii, iż jako ludzkość doszliśmy do punktu, w którym możemy skupić się na rozwiązywaniu rzeczywistych problemów ekonomicznych raczej, aniżeli spierać się o sprawy ducha. Wszak przeznaczenie człowieka – w sensie pożądanego losu – jest nam znane: podbój Wszechświata i pełna samorealizacja. Jest to racjonalny wybór; wybór już dokonany. Dalszy spór nie dotyczy zatem pierwszych zasad czy pytania o to, jak warto żyć. Ujmijmy to bez krztyny egzaltacji: warto być najedzonym,

¹⁰ I. Babbitt, *Experience and Dogma*, „The Saturday Review of Literature”, Vol. 1, No. 15, November 1, 1930, s. 287.

wypoczętym, ogólnie – zaspokojonym. Można powiedzieć, iż wielkie zawody na arenie dziejów wygrywa *petit-bourgeois*, wzbo-gacony suplementami rozrywki i „zaangażowania”, o rosnącej zdolności kredytowej.

Dla „zwycięskiej” odmiany małego burżuazja życie polityczne może być rozrywką, jednak polityka z konieczności zachowuje swój poważniejszy wymiar. Wiąże się to przede wszystkim ze wskazaną wcześniej potrzebą zarządzania wielkimi zbiorowościami. Gra toczy się o zapewnienie odpowiedniej ilości dóbr materialnych, ale też – o skuteczne zarządzanie opinią. Sfera ducha musi zostać spacyfikowana; pojawia się wymóg „poprawności”, aby nikt nie czuł się obrażony czy „wykluczony”, bo to wprowadza rozstrój, a wręcz sprzyja odnowie dawnych chorób czy niepokojów ducha. W miarę powodzenia tejże pacyfikacji możemy skupić się na sporach dotyczących redystrybucji dóbr: co robić, żeby wszyscy obywatele-konsumenci byli zadowoleni – lub żeby mogli wierzyć w to, że są zadowoleni. Na tym tle wyrasta zagadnienie legitymizacji (faktycznego uprawomocnienia) ustroju politycznego. Ktoś, na przykład, może dziwić się trwaniu form ustrojowych, jakie występują we współczesnych Chinach czy Wietnamie, gdzie rządzący zdają się bezwstydnie, a może bezwolnie, czerpać ze skompromitowanych doktryn i symboli. Jednak cały ten sztafaż marksizmu-leninizmu należy widzieć raczej jako, *nomen omen*, nadbudowę struktur służących przeprowadzeniu, na danym obszarze, „nowożytnego eksperymentu”, którego praktyczne osiągnięcie – i bazę społecznego poparcia – stanowi rosnące poczucie bogactwa czy też potęgi materialnej.

Oglądany w perspektywie najnowszych dziejów politycznych, „nowożytny eksperyment” okazuje się bowiem ciągiem prób zmierzających do możliwie najlepszej – czyli „prawdziwej” – implementacji nowoczesnego (humanitarystycznego) modelu państwa i społeczeństwa. W roku 1935 Józef Stalin zwracał się do zgromadzonych przedstawicieli ruchu stachanowskiego takimi

oto prostymi słowy: *życie stało się lepsze, towarzysze, życie stało się weselsze. A gdy życie jest wesole, to i praca idzie dobrze*¹¹. My oczywiście wiemy, że słowa te zostały wypowiedziane w bardzo krótkim interludium pomiędzy wielkim głodem i wielkim terrorem; że padły one z ust postaci mogącej służyć za wzór tyrana-gnębiciela; że w związku z tym nikt przy zdrowych zmysłach nie chciałby żyć w jego państwie, bo życie tam nie mogło być lekkie ni wesole, a cokolwiek mogło uchodzić za źródło satysfakcji, to wkrótce i tak miało lec w gruzach na skutek najazdu sąsiada Adolfa, który – nawiasem mówiąc – szczyił się własnym sukcesem ekonomicznym. Niestety, porażający ogrom zbrodni nie jest czymś, czego nie można by wybaczyć – albo zagadać – w imię „prawdy”. Jeszcze wiele lat po tym, kiedy powtórnie udało się spożytkować miliony ludzkich istnień na odbudowę „ojczyzny proletariatu” z pożogi wojennej, mnóstwo ludzi rzekomo kompetentnych usilnie pragnęło wierzyć w to, iż przyszłość należy do tego państwa i jego ustroju, ów bowiem – mimo ustawicznych „przejściowych trudności” – koniec końców okaże się ustrojem bardziej skutecznym („prawdziwym”), czyli poniekąd bardziej skoncentrowanym na bezwzględnej eksploatacji natury ludzkiej (i natury w ogóle) i bardziej konsekwentnym w tym dziele, bardziej postępowym, bardziej nowoczesnym. Owszem, „twarda” intelektualna fascynacja stalinizmem, z właściwym dlań toposem „forsownej industrializacji”, musiała szybko przeminąć. Czy jednak nie odwracano się raczej od topornych, nieskutecznych technik zarządzania sowieckim molochem aniżeli od uzasadnienia kierunku, w jakim ów molołch miał zmierzać? Czy nie wszczynano wielkich poszukiwań „filozoficznych” po to, aby zaoferować światu lepszą wersję humanitarystycznej utopii? Czyż nie starano się wyrazić „prawdy” nowej epoki w sposób nieco bardziej atrakcyjny, powiedzmy, niż czynili to starzy

¹¹ Por. Sh. Fitzpatrick, *Życie codzienne pod rządami Stalina. Rosja radziecka w latach trzydziestych*, przeł. J. Gilewicz, Kraków 2012, zwłaszcza s. 130 i n.

aparaczczy w typie Susłowa? Atrakcyjny – przede wszystkim dla samych intelektualistów? A z drugiej strony, czy cała wielka debata na temat odrębnych ścieżek modernizowania się różnych krajów, tworzone przy tej okazji teorie konwergencji, a także kolejny topos „globalizacji”, nie zdradzają, *summa summarum*, głębokiego przywiązania do tej samej „prawdy”, której światło wypełniało umysły konspiratorów stających na czele bolszewickiej tyranii?

Nie miejmy wątpliwości, iż tego rodzaju surowa optyka, która sprowadza biografie intelektualne wielu pojedynczych ludzi do jednego zjawiska intelektualizmu, ma również swoje wady i niebezpieczeństwa. Mechaniczne potępienie błędzących bywa świadectwem obopólnego błędzenia. *Kto z was jest bez grzechu, niech pierwszy rzuci na nią kamień* (J 8,7). Nie sposób jednakże zrozumieć przyczyn ustanowienia prymatu ekonomii nad polityką czy też zwycięstwa ideałów ekonomicznych, nie ukazawszy przedtem osobliwości myślenia, które wydaje się całkowicie dominować dyskurs polityczny – począwszy od tych, których zadaniem i przywilejem jest kształcenie elit. Ta osobliwość myślenia nowoczesnych „autorytetów”, jego – z humanistycznego punktu widzenia – „metafizyczność”, może pozostać niemalże nieuchwytna dla nas, którzy na ogół niczego innego nie znamy. Tym bardziej stajemy zdezorientowani wobec praktycznych konsekwencji nowożytnej metafizyki, wobec skutków utożsamienia partykularnej opinii z uniwersalną prawdą, pomieszania porządku dociekań z porządkiem skutecznego działania. Trzeba wszak odważnej przenikliwości, aby móc spokojnie rozważyć choćby i takie dziwnie brzmiące zdanie, że – być może – *cele rewolucji leninowskiej nie zostały zrealizowane w Rosji, lecz spełniły się w burżuazyjnej Ameryce*¹².

¹² S. Bellow, *Pisarze, intelektualiści, polityka: rzecz głównie wspominkowa* [w:] tegoż, *Suma po przemyśleniach. Od niewyraźnej przeszłości do niepewnej przyszłości*, przeł. T. Bieroń, Poznań 1998, s. 126.